# ROZMAITOŚCI.

Dnia 20 grudnia, Ner 51. roku 1845.

## ZALOTNICA
CZYLI:
## GROBY KSIĄŻĄT POMORSKICH

Bawiąc przed kilką laty na Pomorzu, zwidzałem jednego razu ruiny zamku dawnych książąt pomorskich, leżące w pobliżu miasteczka W. Zwaliska te składały się po większéj części z rozległych naspów gruzu, porośniętych zieloną trawą, na której tu i owdzie kozy i krowy pasły. Gdzieniegdzie tylko wznosiły się szczątki staréj wpółrozwalonéj baszty, przeglądając się w źwierciedle poblizko płynącéj rzeki, która tu statkami i rybackiémi łodziami ożywiona, malowniczo wzdłuż lesistych toczyła się pogorzów. Ta piękna kwitnąca okolica, ten ruch na rzece, te nieustanne *ahijo!* wioślarzy, wreszcie ta głucha wrzawa pobliskiego miasteczka, które na tymże samym brzegu co i ruina, tylko nieco wyżéj leżało — wszystko to wprawiło mię na tych niemych a przecież oraz tak wymownych gruzach przeszłości, w osobliwsze usposobienie umysłu, tém radziéj do rzewnego dumania skłaniające, iż tam właśnie zachodnie słońce tak majestatycznie zpoza krzyża głównego miejskiego kościoła się wznosiło, i jakiś, z samego środka ruin w górę płynący słup dymu ozłacało. Wszakże zamilczam tu czytelnikowi moje marzenia, sny i uczucia, gdyż te nie należą wcale do rzeczy, którą chcę opowiedzieć. Krótko mówiąc: przypatrzywszy się przez kilka minut temu dziwnemu widowisku, predsięwziąłem sobie pójść ku miejscu, zkąd się ów dym podnosił, i zbadać: jakieby tam jeszcze ślady życia w tych opustoszałych zwaliskach przechowywać się mogły, jeżli to tylko nie był ogień przypadkowo przez wioślarzy naniecony, a teraz samotnie dogorywający. Udałem się więc zwolna wzdłuż wałów zamkowych, i przeszedłszy wiodący przez nie most murowany, zbliżyłem się ku ognisku. Pierwsze co mi tam w oczy uderzyło, była nizka, brudna, łachmanami okryta postać kobiéca, która grzejąc się w słońcu, ziemniaki obierała, a postrzegłszy mię, szybko jedną ręką nóż swój do kosza wrzuciła, a drugą na poblizki, wązki wchód do wnętrza ruin wskazała, dając mi swojémi gwałtownémi ruchami, jakoteż kilką z trudnością wyjąknionych, niezrozumiałych głosów mimowolnie do poznania, iż była niemą. Przeto nie bawiąc dłużéj, poszedłem za jéj skinieniem, i wstąpiłem do środka ruiny, któréj wązkie wnijście kryło się w prawdziwéj ciemności egipskiéj. Omal że zaraz przy pierwszych krokach nie upadłem, tak oślizłémi i chropowatemi kamieniami był uścielony przystęp do téj spadzisto idącéj jaskini. Utrzymałem się przecież po kilku potknięciach dość szczęśliwie na nogach, i namacałem w końcu na półotwarte, wilgocią osiąkłe drzwi, z których głośne, ciężkie stękanie mię dochodziło. Osoba która te jęki wydawała, byłto zgrzybiały, przeszło 70letni starzec, leżący sam jeden w pustém, chłodném sklepieniu, jak drugi Łazarz, na gołém, słomianém łożu nędzy, boleści i rozpaczy. Lecz mieszkanie jego, przypatrzywszy się z uwagą, zdawało się pochodzić jeszcze z czasów dawnéj świetności zamku. Byłato bowiem wysoka gocka sala, ozdobiona niegdyś licznémi gypsowémi stukateryjami, w któréj teraz mały w kącie stojący piecyk, kilka pod ścianą drewnianych ławek, i maleńkie, w późniejszym czasie wybite okno, dziwacznie odbijały.

»Dobry dzień, staruszku« rzekłem wszedłszy do środka — »jak się macie? jestem obcy podróżny, życzę sobie zwidzić te starożytne zwaliska, a wy będziecie mogli zapewne dać mi niejakie wyjaśnienia.«

Na te słowa zwrócił starzec ku mnie swoje wiekiem, boleścią i troskami poorane oblicze, i pomijając ostatnią część mojego zapytania, odpowiedział z okropnym wyrazem rozpaczy w rysach i głosie: „Źle się mam, bardzo źle, mój panie; oto już dwa lata, leżę tu i męczę się, i skonać nie mogę. A przy tém ani kawałka chleba!"

Litość mię zdjęła na widok tego starca, a chcąc go ująć dla siebie, dobyłem talara i wetknąłem mu go w rękę.

„Bóg zapłać —" odrzekł oziębłe, kładąc otrzymany pieniądz na półkę ponad łożem — »chociaż

wolałbym szczyptę arszeniku, bo ta byłaby przecież najsmaczniejszą strawą dla mego starego żołądka.»

„Jakto?" zawołałem, zdumiony nadzwyczajną słów tych goryczą — „czyż wam doprawdy, starcze, życie tak się sprzykrzyło?"

„Ha —» odpowiedział z odrażającym śmiechem — „gdybym przynajmniéj mógł jeszcze chodzić, lub tylko łazić, a byłbym się już dawno zawlókł tam ponad fosę, na wał zamkowy, i byłbym się stoczył w wodę, aby się na wieki wieków nią opić. Lecz nikt z moich znajomych nie chce mi wyświadczyć téj przysługi, i zanieść mię nad fosę, a jeżli pan to może uczynić zechcesz, tedy oddam ci chętnie tego talara."

Wyrzekłszy to uchwycił mię za rękę, lecz ja usunąłem ją ze zgrozą, i zawołałem:

„Ale czyż się też starcze Boga nie boisz, że tak śmiesz mówić!"

Te słowa sprawiły elektryczne wrażenie na wpółobłąkanym starcu. Zakrył sobie twarz rękoma, a głos jego stał się dziwnie miękkim i rzewnym, i tak mi odpowiedział: »Ach prawda, prawda! Powinien'em bać się Boga! I nie będę się już więcéj skarzył! Wszakżeto ja tysiąckrotnie swojémi grzechami na tę karę zasłużyłem. Tak — tak! Będę już spokojnie i cierpliwie czekał śmierci."

Tu zamilkł na chwilę, a potém zaczął znowu: »O gdybyś pan wiedział, gdybyś pan wiedział!" Lecz nagle, jakby przestraszony tą otwartością, która go do tak jawnego napomknienia swojéj tajnéj winy przywiodła, dodał natychmiast — „Cóż ja tu plotę! Nic byś pan się nie dowiedział. — Niech pana Bóg prowadzi; opuść mię pan; zda mi się jakbym jeszcze dziś w wieczór miał umrzeć!"

„Nie chcę was dłużéj mojémi pytaniami utrudzać!—" odpowiedziałem, zabierając się do odejścia. „Oby wam Bóg miłosierny spokojne dał skonanie; lecz powiedźcie mi tylko to jedno: Co znaczą owe ciemne wnijścia, jak do piwnicy, które pod wałami waszych zwalisk postrzegłem. Sążto może książęce groby, albo może jakie piwnice, które jeszcze z starodawnych czasów się zachowały."

Nie podobna jest opisać wzruszenia, jakie starca na te słowa „książęce groby" opanowało. »Ha!" zawołał nareszcie — „Skądże pan na tę groby książęce wpadłeś! Czyżto Bóg panu te słowa natchnął! Dziwna! dziwna! Od tych to nieszczęsnych grobów pochodzi wszelka moja nędza, pochodzą moje cierpienia! Usiądź pan sobie. Widzę w tém wyraźnie palec Boży, abym jeszcze przed śmiercią serce moje od téj dręczącéj tajemnicy uwolnił, która już przeszło pół wieku je obciąża. Ale przyrzeknij mi pan na sumienie, iż ani słowa o tém przed moją śmiercią nie powiesz; mocno pana o to proszę, i spodziewam się, iż dotrzymasz przyrzeczenia."

Nie mogłem odmówić, dałem mu to przyrzeczenie, a potém pełen oczekiwania tajemniczych zeznań, jakie miałem usłyszeć, usiadłem na złomanym stołku o trzech nogach przy łożu starca, który wnet po głębokiém westchnieniu, w te zaczął słowa:

„To, coś pan tu pod wałami zamkowémi widział, sąto rzeczywiście piwnice z dawnych książęcych czasów, gdzie teraz tutejsi kupcy składy swoich kolonijalnych towarów utrzymują. I wspominam głównie dla tego o téj okoliczności, abyś pan smutnych scen mojéj zbrodni, którą mu chcę wyjawić, nie w tych ruinach szukał. Nie, owe książęce groby, których wzmianka tak mocno mię przeraziła, znajdują się w kościele św. Piotra, w przyległém miasteczku, i zawierają zwłoki dawnych, od przeszło dwiestu lat już wymarłych książąt tutejszych. A teraz posłuchaj pan bliższych szczegółów mego życia.

»Byłem niegdyś młodym, rzezkim żeglarzem, ujmującego wejrzenia, przytém biegły w swéj sztuce, lecz bez szeląga majątku. Ztąd uczyniłem, co tysiące przedemną uczynili i jeszcze czynią, to jest, oglądnąłem się za jaką posażną panną, aby czémprędzéj na pokładzie własnego stanąć okrętu, i w owych tak korzystnych dla handlu czasach, szczęścia na morzu próbować. Ze wszystkich dziewcząt miejskich ściągnęła najbardziéj uwagę moje na siebie niejaka Wilhelmina B , teraźniejsza żona moja, którą niech Bóg tak ciężko skarze, jak i mnie skarał—" dodał starzec z niewymownie zajadłą złością. „Była ona jedynaczką pewnego zamożnego kupca, a oraz młodą i piękną, jak świeżo wyleniona gadzina. W jéj obecności mniemałem że jestem w niebie. Dziewka zdawała się mieć skłonność do mnie, stary, skąpy ojciec zezwolił po niejakim oporze na nasz związek, a tak nie brakowało niczego, oprócz wesela. Wtém naprowadził szatan memu przyszłemu teściowi nowego w dom zalotnika do córki. Byłto także młody, ale majętny żeglarz, a nim kilka dni upłynęło, wyrugował mię zupełnie z łaski córki i ojca. Nikt nie zdoła pojąć męczarni, jaką wtedy uczułem. Bo jakkolwiek nędzny dziś jestem, i wiele cierpię, nic to przecież w porównaniu z niewysłowioną katuszą zazdrości, która szarpała moje serce, pożerane płomienną namiętnością, jakiéj zapewne z tysiąca zwykłych kochanków, zaledwie jeden doświadcza. Lecz to właśnie zdawało się największą przyjemność sprawiać mojéj okrutnéj kochance. Gdyż oznajmiwszy mi osobiście, z lekkim uśmiéchem na ustach, swoje zmienione, jak ona to zwała, zdanie, i pożegnawszy mię z zadartym nosem i hardémi minami, spozierała już nazajutrz, gdym ją przypadkiem w towarzystwie nowego narzeczonego spotkał, tak niewymownie tęskno z bo-

ku na mnie, że mię to na wskróś przenikło. Zatrzymałem się na chwilkę na rogu ulicy, zdziwiony i osłupiały, jakby mię ktoś przykuł do miejsca. Nagle spłonęła nowa nadzieja tak gwałtownie w méj duszy, żem podskoczył z radości. Moja miłość własna wnet mi to po swojemu jak najjaśniéj wytłumaczyła. „Nie ma wątpienia—” mówiłem sobie w duchu — »że mię nierównie bardziéj kocha, niż swego teraźniejszego galana, któremu zapewne tylko z rozkazu ojca rękę oddaje. Biedaczka! nieszczęśliwa! jakże tęskno spojrzała na mnie! jak lubo uśmiechnęła się do mnie! Muszę koniecznie zbadać tę tajemnicę, i to w najkrótszym czasie.”

Tak samowolnie się łudząc, powziąłem zamiar zakraść się jeszcze téjże saméj nocy pod jéj okna, aby ją stanowczo o jéj przychylność ku mnie zapytać, a gdyby zezwoliła, uprowadzić ją z sobą na okręt, który nazajutrz do Rygi miał odpłynąć, a na którym ja służbę sternika przyjąć mogłem. Wśród tak szalonych zamysłów nadszedł wieczór, a zaledwie minęła godzina, w któréj jakto zdawna wiedziałem, ojciec Wilhelminy zwykł był udawać się na spoczynek, wybrałem się ku domowi mojéj niewiernéj kochanki, przeskoczyłem przez płot, otaczający domostwo, i zakradłem się niepostrzeżony wzdłuż krzaków agrestowych aż pod jéj okno, które z radością, jeszcze jasno oświetlone zastałem. Wilhelmina stała na środku pokoju, przypatrując się niektórym nowym sukniom, rozłożonym przed nią na łóżku.

„Mino!” zawołałem półgłosem, pukając zlekka do okna — »Mino, mam ci coś ważnego powiedzieć; otwórz okno na chwilkę.”

Piękna zalotnica przestraszyła się zrazu, lecz poznawszy mię po głosie, zaczęła śmiać się wesoło, i otworzyła okno, mówiąc: „A tyżtu co robisz, błazenku? Nie dostaniesz się do pokoju, a gdybyś chciał wejść na siłę, tedy narobię krzyku i zbudzę ojca, który, jak wiesz, spi w pobliżu.„

»Ach, nie, Mino!”— odpowiedziałem z uszanowaniem, biorąc ją za rękę i przyciskając do ust. — „Chciałem się tylko spytać, czy istotnie jesteś mi tak życzliwą, jakto twoje dzisiejsze spojrzenia wyrażać się zdawały. Jeźli się niezawiodłem, jeźli mię kochasz, to jeszcze dzisiejszéj nocy —”

Tu przerwał mi głośny śmiech Wilhelminy, która nieposiadając się ze źle ukrytéj radości, wykręciła się swawolnie na pięcie, a potém szydersko się ozwała: „Ha-ha-ha! Co też ty sobie błazenku roisz! Czyliżem ci już raz na zawsze wyraźnie zdania mego nie powiedziała?”

Ach, mój Boże!” zawołałem, smutkiem przejęty — »A przecież byłaś niegdyś tak dobrą dla mnie!”

„Dobrą jestem jeszcze zawsze dla ciebie —” odpowiedziała, spozierając na mnie z figlarnym uśmiéchem — „lecz o weselu ani mowy. Wszakże jesteś biédnym i nie możesz mnie utrzymać! Przypatrz-no się tym sukniom— jakże ci się one podobają? Ta biała, kosztuje sama jedna 10 talarów, a gdy mój Karol niebawem do Londynu popłynie, tedy obiecał mi przywieźć złoty zégarek, bo chce koniecznie, abym najpierwszym damom miasta w niczém nie ustępowała.”

Zamiast więc cobym miał był natychmiast ze wzgardą tę tak próżną, płochą, a oraz okrutną zalotnicę porzucić, i dziękując Bogu za uwolnienie od niéj, do domu odejść, przypatrywałem się w zaślepieniu jéj figlarnemu uśmiéchowi, i tym ponętnym wdziękom, których odurzający widok tak dalece wszelkie dawne wspomnienia mojéj namiętności dla niéj w sercu mojem rozbudził, iż pożerany niecną żądzą jéj posiadania, nie tylko owe wyrzeczone do mnie nikczemne słowa jéj przebaczyłem, lecz owszem nieśmiałą prośbę o pozwolenie mi całusa poszepnąłem.

„Czemuż nie!” odszepnęła mi z kuszącym uśmiéchem zwodzicielka — »Czemu nie, jeźli ci oto tylko idzie, błazenku—” poczém westchnąwszy głęboko, wychyliła się z półprzymrużonémi oczyma przez okno ku mnie, a ja w szaloném uniesieniu tak ją serdecznie uścisnąłem, jak gdybym najniewinniejszego anioła z niebios miał w objęciu. Chciałem jéj właśnie cały mój plan opowiedzieć, nie mogąc nawet pomyśléć, aby tyle okazanéj mi czułości i dobroci, pozorem tylko być miało, — gdy naraz jakieś stąpanie za drzwiami dało się słyszéć, a moja zwodna kochanka, mocno spłoniwszy się, szybko z objęć mi się wyrwała. i od okna mię odsuwając, zmieszana rzekła: „Idź, idź, Karol nadchodzi; cóżby on powiedział, gdyby nas tu razem zastał.”

Usłuchałem jéj rozkazu i wybiegłem z ogrodu, lecz nie podobna mi wyrazić, co za burza nagle w moich piersiach zawrzała. Za każdym krokiem malowała mi rozogniona wyobraźnia coraz żywsze widziadła szczęścia i rozkoszy, jakich teraz mój rywal przy jéj boku doświadczał, i jak bezsterny, wichrami gnany okręt, błąkałem się po ulicach miasteczka, niewiedząc wcale, dokąd idę i co zamyślam. Nareszcie oparłem się w tych tu ruinach, gdzie bez zmysłów prawie, sterczące głazy z obalonego muru odwalać zacząłem, aby miotającą mną burzę na jakimś zewnętrznym wywrzeć przedmiocie. Tysiące sprzecznych myśli jak błyskawica przelatywały mi przez głowę. Chciałem mojego rywala zabić, sobie samemu śmierć zadać. Ale że do popełnienia jednego jak i do drugiego, uczucie religijne było mi na przeszkodzie, przeto zdarzyło się, iż mimowolnie zwróciłem uwagę na rozmowę prowadzoną o kilkanaście kroków odemnie przez dwóch stróżów nocnych, którzy siedząc na pochyłości wału zamkowego, uderzenia godziny oczekiwali. Treścią téj rozmowy była histo-

ryja zrabowania grobów książęcych w kościele św. Piotra, które przed więcéj niż sto laty zdarzyć się miało. Słowa ich padły błyskawicą nadziei w czarną noc duszy mojéj. »Oto sposób zrobienia majątku!» — pomyślałem „i to wcale godziwym sposobem. Bo i cóż umarłym po ich klejnotach i złocie; jestto skinienie Boże, którego nie należy się zaniedbywać!»

Wiedziałem, iż skradzione wówczas skarby, po większéj części znalezione i znowu w grobach poskładane zostały, a ponieważ w naszych czasach nierównie mniéj niż dawniéj o zmarłych dbają, dla tego sądziłem iż nowe, ostrożniejsze zakradnienie się do sklepu podkościelnego, łatwoby ukryć się mogło, jak też rzeczywiście aż do dnia dzisiejszego się stało, a przynajmniej jak się to stało przed ludźmi, lecz nie przed Bogiem, co pan tu wnet usłyszysz.

Wróciłem spiesznie niepostrzeżony do domu, i spędziłem resztę nocy na obmyśleniu najodpowiedniejszych planów. Przedewszystkiém chodziło o to, aby do grobów książęcych wykraść klucze, które, jakto jednego razu od kościelnego słyszałem, w książnicy kościelnéj, wewnątrz kościoła leżały, a zatém trudne do wydobycia były. Lecz gdy nazajutrz rano zamyślony wokoło kościoła się skradałem, zachodząc w radę z sobą, jakby za pośrednictwem kościelnego, nie ściągnąwszy podejrzenia na siebie, do sali biblijotecznéj się dostać— sam przypadek dopomógł mi do osiągnienia zamiaru mego. Postrzegłem bowiem kilka obecnych pań i panów, stojących przy małéj, żelaznéj fórtce, którędy po wąziutkich, ślimakiem wijących się schodach do biblijoteki się wchodziło. Wraz z owém towarzystwem znajdował się jakiś duchowny, który tę fórtkę odmykał, a zapytany przez jednę z pań o mumiję, mającą się tu znajdować, obojętnie jéj odpowiedział, aby tylko raczyła pójść na górę, gdzie sama ową mumiję obaczy. Korzystając z téj sposobności zwróciłem się do tegoż księdza z prośbą o pozwolenie mi przyłączenia się do towarzystwa i zwidzenia téj najznamienitszéj osobliwości miasta, którą oddawna ujrzeć pragnąłem. Prośba moja znalazła chętne przyjęcie, a tak udałem się z bijącém sercem za poprzedzającymi mnie gośćmi. Otwarto nam drzwi do sali, a podczas gdy wszyscy z głośnym wykrzykiem przerażenia postrzegli mumiję, ustawioną w przeciwległéj framudze, i z pełném zgrozy zdziwieniem, jéj otwartym ustom i straszliwie wytrzeszczonym oczom się przypatrywali, a ksiądz szeroko im opowiadać zaczął, jak tę mumiję przed kilką laty pod marmurowym płytem w pobliżu ołtarza znaleziono, i jak, jużto dla tego samego miejsca spoczynku, a jeszcze bardziéj dla rzadkich niegdyś i nadzwyczajnie kosztownych, okrywających ją szat wnosić wypada: iż to tyle a tyle łutów ważące, a jeszcze z całkowitemi uszyma, palcami i paznokciami, wyschłe ciało człowiecze zapewne do jakiéjś dostojnéj osoby należało — ja tymczasem oglądałem się wszędy chciwémi oczyma, czy gdzie upragnionego klucza nie ujrzę. Lecz nadaremnie— nigdzie go widać nie było, i już złorzeczyłem losowi— aż wreszcie owa ciekawa dama, która piérwsza o mumiję się pytała, a teraz niczego bez obejrzenia nie pominęła, i to wnet jakąś starą książkę, wnet jakiś dawny ornat oglądała, nagle zkądeś duży klucz wydobyła, i księdzu go pokazując, spytała:

»A tenże klucz od czego?»

»Jestto klucz od grobów książęcych, które się pod głównym ołtarzem znajdują—» odpowiedział duchowny.

„Ach, pozwólże nam ojcze je widzieć!» zawołała ciekawa dama.

»Nie mogę—» odrzekł kapłan— »Żałuję mocno iż życzeniu pani odmówić muszę, lecz odkąd przed więcéj niż stu laty te groby niegodziwym sposobem okradzione zostały, wydano rozporządzenie, aby tylko za wolą i w obecności samegoż panującego książęcia, do tego uświęconego przybytku, któregom ja sam jeszcze nigdy nie widział, przystęp był dozwolony.»

Na skrzywienie się ciekawéj podróżniczki, i na jéj z urazą wymówioną uwagę: „Dla nas przecież mógłbyś ojcze zrobić wyjątek—» odpowiedział duchowny wzruszeniem ramion, a nieukontentowana dama, po niechętnie rzuconém słówku: »Wielka szkoda» ujrzała się zmuszoną, powiesić klucz znowu na goździu po za mumiją, zkąd też on — podczas gdy wszyscy przypadkiem się odwrócili, aby jakieś stare, na atłasie wyszyte obrazy obejrzeć—zręcznie do mojéj kieszeni się dostał. Po dokonaniu tego piérwszego kroku uczułem, iż gorący rumieniec, w części z obawy, w części z radości, lica mi oblał, a zaledwieśmy znów na dół zeszli, pospieszyłem czémprędzéj do domu ojca mojéj kochanki, sądząc się już w posiadaniu wszystkich skarbów grobowych, które, jak to przed chwilą słyszałem, w czasie odebrania ich złodziejom, sądownie na przeszło 6000 talarów oceniono, i które tém słuszniéj teraz podług mego mniemania, do mnie należéć miały, iż posiadałem wszelkie przymioty potrzebne do wydobycia ich na jaw: to jest nieustraszoną odwagę i przebiegłość.

„Szczęść Boże, kapitanie!» zawołałem, wchodząc do komnaty starego ojca Wilhelminy, który niedbale sobie na sofie siedział i z nudów poziéwał. „Z przeproszeniem, przychodzę się was zapytać, czy nie macie jakiego polecenia do Hamburga, gdyż myślę jechać tam pocztą témi dniami.»

„Cóż u licha!» mruknął stary z zadziwieniem — »wy pocztą do Hamburga, a toż po co?»

„Po pieniądze!" odpowiedziałem wesoło—„po pieniądze, bo i mnie Bóg nie opuścił, przyszedłem w tych dniach do majątku."

»Co? jak?" zapytał stary skąpiec radośnie zmienionym głosem, powstając z sofy i ciekawie się we mnie wpatrując.

»Tak, tak!" zawołałem żartobliwie— „niechcieliście mi dać swojéj córki, a jam teraz dwa razy tak bogaty, jak wasz młody kapitan N."

»Nie o same to pieniądze chodziło" odpowiedział starzec chytrze.— „Lecz wytłumaczcie się jaśniéj. Wiecie, iż was zawsze lubiłem, a gdyby to jedynie odemnie było zależało, mogłoby się było między nami coś ztąd zawiązać.»

„No, jeszcze ja wprawdzie nie mam pieniędzy w kieszeni" rzekłem— »lecz nie daleko do tego."

Na te słowa przeciągnęły się rysy skąpca widocznie, i usiadł sobie znowuż na sofę.

»Oto śniło mi się—» dodałem, ufając jego znanéj mi zabobonności— „iż widziałem wyraźnie na banderze waszego okrętu numer, który ma wygrać los wielki na hamburskiéj loteryi. Wasza nieboszczka żona przystąpiła do mnie wraz z córką, i kazała mi jechać natychmiast do Hamburga i postawić ten numer na loteryi."

»Przywidzenie" mruknął starzec, zawiedziony w swoich nadziejach; lecz namyśliwszy się, dodał po chwili— „Chociaż to trudno wiedzieć! Miewałem i ja różne dziwne zdarzenia w mojém życiu. Jakoż niedawno jeszcze śniło mi się, iżeście byli moim zięciem. Osobliwszy to zbieg okoliczności—nie ma co mówić."

„Ale najbardziéj dla tego, że to wasza nieboszczka żona mi się przyśniła—" rzekłem— „wybiorę się w tę podróż."

„Uczciważ bo to była kobiéta!" zawołał stary z westchnieniem— „i nigdy nieprawda na ustach jéj nie postała. Gdybym był na waszém miejscu, takżebym jéj usłuchał!»

»A dacież mi rękę Wilhelminy, również jak ją wasza nieboszczka żona we śnie mi oddała, a potém ku niebu znikła?"

„Przeze mnie" odrzekł ojciec mojéj kochanki— »jeżeli w istocie jaką sumę wygracie; byłoby to bowiem wyraźném skinieniem nieba!"

»Bez wątpienia—„ odpowiedziałem— „ale w takim razie musicie mi ośm tygodni czasu pozwolić, i przyrzec uroczyście, iż aż potąd ani na zapowiedzi, ani na wesele waszéj córki z moim rywalem nie zezwolicie."

„O to muszę ją same jeszcze zapytać—" przejął stary kapitan, i wstawszy z sofy, poszedł do przyległego pokoiku Wilhelminy, z którą długo żywo rozmawiał.

Wreszcie wyszli do mnie oboje.

»Cóżeś sobie tam znowu uroił—" rzekła Wilhelmina, witając mię swoim złudliwym uśmiéchem. „Ha, jeźli tego koniecznie żądasz, uczynię to dla ciebie i będę czekała."

Te słowa przenikły mię niewymowną radością; przyciśnąłem ją w obecności ojca do serca, a jéj wstydliwe opieranie się moim pieszczotom, zdało mi się niezawodną oznaką najczystszéj cnoty. Ach, pomyślałem sobie, i dla takiéj dziewczyny nie miałbymże się odważyć na wyprawę do sklepu grobowego! „A chociażby nawet na wyprawę do piekła—do piekła—" powtórzył z rozpaczą opowiadający nędzarz »gdzie też ja wkrótce i pójdę!"

(Dokończenie nastąpi.)

## Mac-Gregor.

Zjednoczenie Anglii ze Szkocyją było dla potomków Fingala i Ossyjana hasłem nieobliczonéj pomyślności. Z Anglikami weszły do Szkocyi cywilizacyja, przemysł, a za niémi bogactwo. Około roku 1770 obok starego grodu Edymburga, zaczęło się wznosić miasto nowe, zawodniczące dzisiaj z pierwszemi stolicami Europy. Inne miasta Szkocyi miały także udział w tym wzroście, a Glasgów, ów piękny Glasgów na dolinie Klidy, nie zostawał za niémi, lecz wzmagał się codziennie w rękodzieła, przemysł i ludność.

Gorale opuszczali powoli swe klany i łączyli się z resztą rodaków u których widzieli dostatki i wygody życia, nie potrzebując ich okupywać zniszczeniem żniw i kradzieżą bydła. Znajdowało się jeszcze wprawdzie wielu nieposkromionych bohaterów i naczelników rodzin, zazdrośnych o swoje starodawne przywileje, którzy pracującym rodakom wyrzucali ich gnuśność, jak Rob-Roy Walter-Skota wyrzucał handel swemu krewnemu Jervie; ale widocznie rasa gorali (*highlanders*) opuszczała góry, schodziła na doliny, aby tam szukać cywilizacyi i bogactw. Dla tego też cały prawie Glasgów przyozdabiał się nowémi murami, domy drewniane niknęły, ulice rozszérzały się, wznosiły się pomniki a nawet sztuki z Anglii wciskały się do miasta. W Glasgowie był teatr na którym przedstawiano dramata Szekspira. Jak je przedstawiano— nie godzi się powtarzać; wspomniemy tylko, że trzy czwarte części mieszkańcow Glasgowa mówiły naówczas po szkocku, a połowa aktorów składała się z gorali, byłych niegdyś wirtuozów na kobzie i zawołanych śpiewaków ballad; spotykano także pomiędzy tymi aktorami dwóch czy trzech cyganów, których nazywano w Anglii *gibsies*, a którzy deklamowali Szekspira w swoim zwyczajnym dyjalekcie, złożonym z arabskiego, włoskiego i angielskiego.

Byłto dziecinny wiek sztuki, kiedy właśnie Garryk do wyższego wznosił ją szczytu w Anglii. Jednakże w téj niekształtnéj gromadzie

artystów miasta Glasgowa, znajdował się aktor, którego śmiało Londyn mógł pozazdrościć, gdyby go można było oduczyć goralskiego akcentu. Był-to piękny, 25letni młodzieniec, wysoki, dobrze zbudowany, męzkiéj lecz pełnéj wdzięku twarzy, odznaczający się ową giętkością i szlachetnością ruchów, która tylko goralom właściwą być się zdaje — nazywał on się Mac-Gregor. Nieszczęściem jego było, że się urodził zapoźno lub zawcześnie: o sto lat wcześniéj byłby się wsławił w krwawych walkach gorali z nizakami, w pięćdziesiąt lat późniéj, byłoby wychowanie wygładziło jego szorstką, silną naturę i uczyniło zeń znakomitego męża na polu bitwy, w sztukach lub umiejętnościach. Mac-Gregor, poeta i muzyk, został przywabiony cywilizacyją do Glasgowa, a niemogąc nagiąć się do prozaicznych wymagań handlu, wstąpił w zawód aktorski.

Lecz skoro tylko okazał się na scenie, zaraz owładnął swoim talentem całą publiczność, działając nito elektrycznym wpływem na zgromadzenie. Odtąd jego tylko słyszano i widziano, dla niego wszystkie *bravo*, dla niego ta sympatyja łącząca aktora z publicznością, i wtajemniczająca ją we wszystkie namiętności na scenie. Dla tego też skoro tylko imię Mac-Gregora na afiszu ujrzano, była sala przepełniona; lecz Mac-Gregor unikał towarzystwa tak młodych ludzi jakoteż starszych i poważnych obywateli, którzyby go radzi byli widzieć u siebie. Z upodobania a może też przez wyrachowanie, im więcéj swobody okazywał w swych rolach, tém więcéj oddalał od siebie towarzyszów powszedniego pożycia, przeniknąwszy swoją goralską bystrością owę zasadę: *Major e longinquo reverentia.*

Przedewszystkiem celował Mac-Gregor w rolach czułych kochanków, do których go piękne jego rysy twarzy, wzrost smukły, wyraziste spojrzenie i dźwięczny organ głosu wybornie usposobiały; a ponieważ w teatrze kochanek na każdy wypadek wzajemność otrzymuje, i trudno nawet było pomyśléć, jakby kochanka tak pięknemu młodzianowi oprzéć się mogła, przeto nazywano w Glasgowie wszystkich szczęśliwych kochanków i mile u kobiet widzianych mężczyzn: to Mac-Gregor.

Najbardziéj uwielbiano Mac-Gregora w roli Romea, który dla Anglików wymaga połączenia trzech przymiotów, rzadko u nich razem zebranych: młodości, wdzięku, piękności. W tym czarnym stroju, emalijowanym agatem, z tą białą, rumianą twarzą, z temi pogardliwemi nieco ustami, przedstawiał śmiały goral niezrównanie owego namiętnego młodzieńca, który opuścił Rozalindę, aby się zakochać w córce nieprzyjaznéj rodziny. Dlatego pojmowano poetę, gdy Julietta mówi: że dla rozniecenia ognia téj miłości, dość było jednego wzroku, jednego ściśnięcia ręki na balu; — a gdy młoda dziewica wyjawiała swoję miłość tym jednym wykrzyknikiem: »*O my sweet Romeo!*— luby Romeo!« słyszano szmer w ložach teatru glasgowskiego, jakby wszystkie kobiety chciały były powtórzyć słowa aktorki.

Pozory mylą, a wypadki, które cały świat za niezbite prawdy uznaje, są nieraz błędne. Mac-Gregor nie był szczęśliwym — kochał a nie był wzajem kochanym.

Obok jego skromnego domku na *Old Street* mieszkała młoda dziewczyna, goralka także, a nawet z klanu niegdyś Mac-Gregorom nieprzyjaznego. Nie zadziwiała ona pięknością, lecz dusza jéj była niezwyczajnie silna i wrząca. Mac-Gregor zakochał się w niéj szalenie, i odtąd ta namiętność zajęła całą jego istotę. Ojciec Edyty przyjmował go chętnie u siebie, a ponieważ jego domek z ogrodem, był tylko murem od ogródka Mac-Gregorowego mieszkania przedzielonym, tedy kazał kochanek wybić drzwi w murze, i widywał codziennie przedmiot swojéj miłości, nie potrzebując lękać się świadków. Rodzice kochanki, zapomniawszy o dawnéj nienawiści rodzin, byli gotowi oddać mu swoję córkę, témbardziéj iż mieli się dość dobrze, a nasz artysta posiadał w górach dziedziczne grunta i trzody, powierzone pilnéj opiece pasterza, przyjaciela od lat dziecinnych i krewnego w piętnastém pokoleniu. Nic się nie sprzeciwiało małżeństwu Edyty, a przecież tego najpiękniejszego mężczyzny w całéj Szkocyi, tego artysty, którego Londyn i Edymburg Glasgowowi zazdrościły — Edyta nie kochała.

Są kobiety, które się pięknością uwieść nie dadzą; wiedzione naturalnym instynktem, czują one obawę od tych hołdów piękności, zazwyczaj tak niestałych i płochych, lub je przez skromność uważają za niezasłużone i nieszczére. Przy czém i na to pamiętać trzeba, że piękność nie zawsze i nie sama uwodzi, że ten przywiléj nie do niéj wyłącznie należy; słowem piękność jest przymiotem względnym, i bywają organizacyje, na które ona wcale nie wpływa. Mac-Gregor prosił, błagał, bez skutku; nic nie mogło przełomać uporu młodéj Szkotki.

Pewnéj nocy, obsypany znowu oklaskami i pochwałami, lecz nie zadowolony tém zimném uwielbieniem, starał się na próżno pogrążyć we śnie swój smutek, gdy oto nagle rozległy się na ulicy przeraźliwe okrzyki: »Gore! gore!« Zerwał się więc i ujrzał naprzeciw leżący dom w płomieniach. Ogromne kłęby dymu buchały z zajętego dachu; rzęsiste snopy iskier padające na ulicę, roznosiły w koło pożogę; wszystkie drewniane ściany sąsiednich domów zaczęły pękać i płonąć — była to okropna chwila.

Mac-Gregor wybiegł co duchu na ulicę i rzucił się do walki z rozhukanym żywiołem. Przy owczesnym niedostatku wszelkich środków obrony od pożarów, bohaterstwo mieszkańców ograniczało się

jedynie na ratowanie osób, poświęcając mienie na pastwę ognia. Rozpościerano grube wełniane kołdry dla chwytania nieszczęśliwych, wyskakujących z wyższych piętr domu, lub przystawiano drabiny do kurzących się murów. W jednem z najwyższych okien gorejącego domu okazała się śród dymu jasna twarzyczka dziecięcia, wznoszącego ręce ku niebu i wołającego bolesnym głosem: »Matko! Ojcze! ratujcie mię!» Wszyscy zapominają na chwilę o pożarze i patrzą z niewymownym żalem w górę ku dziecku! Lecz jakże ocalić je z tak wysoka! Tu Mac-Gregor z tą rzeźkością i zwinnością gorala, którą Walter-Skot z ruchami dzikiego kota porównywa, pnie się po murzę, po oknach, dostaje się do dziecięcia, chwyta je na ręce, spuszcza się śród płomieni, gdy nagle przepalona belka łomie się. Mac-Gregor pada z nią na ulicę, dziecię jest ocalone, lecz zbawca jego leży bez ruchu — złomał nogę.

Przypadek bohatera-artysty obudził w wysokim stopniu spółczucie całego miasta. Przez kilka dni był teatr zupełnie opuszczony, a wszyscy dowiadywali się tylko o stan zdrowia ranionego. Jakoż istotnie stan jego był zbyt niebezpieczny; dla zachowania życia, musiano przedsięwziąć amputacyję. Aktor zniósł to z odwagą, lecz pozostał o jednej nodze. Zamiast niéj zostało mu owe dziecię, które straciwszy w pożarze rodziców, nigdy się z nim już odtąd nie rozłączyło.

Strata Mac-Gregora pozbawiła teatr glasgowski wszelkiej publiczności. Odkąd Mac-Gregor nie grywał, bywała sala każdego wieczora pustą. Na daremnie wzywano nowych aktorów. Żaden z popisujących się nie był godzien zastąpić owego jenijuszu, który Glasgów w utwory Szekspira wtajemniczał.

Jednego wieczora w czasie próżnego przedstawienia, rozbiegła się pogłoska, że Mac-Gregor, odzyskawszy zupełne zdrowie, przybył jak stary żołnierz na szczudle, aby dawnych spółtowarzyszy odwidzić. Na to objawił się powszechny zapał w sali, i ze wszystkich piersi wydobył się jeden okrzyk: »Mac-Gregor! Mac-Gregor niech się nam pokaże!»

Teatr przedstawiał ową scenę tragiczną, w której cień Banka okazuje się Makbetowi; wtem otwarły się drzwi, a śród namiętnych oklasków całej publiczności, wystąpił naprzód Mac-Gregor. Byłato zawsze jeszcze tażsama postać pełna zadumy i tęsknoty, czoło dumne, spojrzenie łagodne i głębokie, ten sam wdzięk w ruchach, taż sama szlachetność w postawie — lecz bez nogi. Wrażenie było tém większe, iż prowadził ocalone dziecię za rękę, i opierał się niekiedy z lekka na jego ramieniu.

Wydawano zapamiętałe okrzyki radości, cała publiczność drżała z uniesienia, wychwalano na głos jego bohaterskie poświęcenie się w nocy pożaru; Mac-Gregor skłonił się wolno, a łzy zajaśniały mu w oczach. Natenczas jakiś głos pojedyńczy zawołał: »Romeo! Niech gra Romea!»

I w oka mgnieniu cała sala wołała: »Romeo! Romeo!» Aktor wskazał ręką na szczudło, a jego wyrazista postać objawiała żywą boleść i niemożność.

»Mniejsza o to» wołano — »Graj Romea! Prosimy! Romeo! Romeo!»

Mac-Gregor nie pewny, nie śmiał odmówić ani przystać, w tém zasłona zapadła, a prośby jego kolegów dokonały reszty.

»Będzie grał! Mac-Gregor przedstawi Romea!» — o tém tylko mówili widzowie, wieść ta rozeszła się piorunem po mieście, w kwadrans był cały teatr pełny.

Grał więc Romea o szczudle, a zadowolenie publiczności było tak wielkie, że nie skończyło się na tém jedynem przedstawieniu. Lord Chesterfield był raz świadkiem takiej reprezentacyi Romea, i pisał o tém obszernie do Montesquie'go, a powróciwszy do Londynu, opowiadał to Garrykowi.

»I oni cierpią tego kulasa na scenie!» zawołał Garryk.

»I owszem — unosi ich, zachwyca, rozczula, a to tak dalece, że nie radzę ci, mój kochany, wystawiać się na porównanie, choć masz tak wielki talent i obie nogi!»

Garryk leci czém prędzéj do Szkocyi, zajeżdża konie w drodze, chce widzieć ten dziw rzadki, przybywa do Glasgowa, biegnie do teatru i pyta o Mac-Gregora.

»*Old street*» odpowiada mu lakonicznie odźwierny.

Tamto na *Old street* obaczył Garryk po raz pierwszy kulawego artystę w jego mieszkaniu. Uderzyło go to piękne oblicze przy spaniałéj postawie i dziwnie ujmującym melancholijnym wyrazie twarzy.

»Jestem Garryk, i przybywam umyślnie do Glasgowa, aby pana w roli Romea widzieć; kiedyż pan występujesz.?»

»Już więcej występować nie będę—» odrzekł spokojnie artysta.— »Oto dziecko, którego ojcem dziś jestem, oto żona moja Edyta, która niechciała mnie kochać, gdy miałem obie nogi, a która mnie uwielbia, odkiedy mam tylko jednę.... Zresztą nie mógłbym grać dość dobrze, abyś pan o mojem szczudle zapomniał... Jestem już tylko kaleką... Dawano mi oklaski, bo mię lubiono.»

»Mylisz się pan—» odpowiedział Garryk— »zrobiłeś pan równie silne wrażenie na lordzie Chesterfield jak na swoich spółziomkach — na lordzie Chesterfield, człowieku najwybredniejszym w całej Anglii. Zresztą» mówił dalej wielki traik, ściągając to zarówno do siebie jak do Mac-Gregora —» trajedyja nie grywa się nogami — spojrzenie, postać, wyraz twarzy, dusza, zapał namiętny serca, tego potrzeba aktorowi, a pan masz to wszystko. O, proszę pana o jedno przedstawienie dla mnie.»

»Nie, panie Garryk—» odrzekł Mac-Gregor z zdrowym rozsądkiem, cechującym gorali — »Nie można dwa razy kusić Boga i ludzi; rzeczy niepodobne dwa razy się nie powodzą. Czas mija, wspomnienia pożaru na Old street zacierają się z czasem, i zapał, który wzbudziłem, musi ostygnąć. Przy tem wystąpił nowy aktor, który się dość podobał, osobliwość mojego położenia straciła swoją nowość, a mnie pozostała tylko noga drewniana. Nie myślę tracić sławy, która teraz tylko zmniejszać się może. Nie będę grał, panie Garryk, ale proszę pana pozostać jakiś czas u mnie w gościnie, i starać się pilnie abyś obie nogi zachował!»

---

## Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 50ty i zawiera: 1) Uwiadomienie o zawiązaniu się c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. 2) O chowie koni (Dokończenie). 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Wiadomości handlowe.

*Dziennika mód paryskich* pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 26ty i zawiéra, prócz

mód, następujące artykuły: 1) Jakób Ellester. Sprawa kryminalna z roku 1811 (Dokończenie).

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc grudzień zawiéra: 1) O ptakach, które wyginęły z okręgu ziemskiego. Przez A. Wagę. 2) Wytłumaczenie artykułów 137 i 138 ustawy hypotecznej z roku 1817, przez A. Hejlmana. 3) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez Ad. Kosińskiego. 4) Poezyje. 5) Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego 1846 r. przez F. Miaskowskiego. (Dokończenie). 6) Kronika literacka. 7) Rozmaitości, 8) Kronika zagraniczna — biblijograficzna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Muzeum naturalijów na sprzedaż. Pisma warszawskie donoszą: Jest do nabycia muzeum historyi naturalnej złożone z trzech znakomitych zbiorów, któremi nie tylko pod względem użytku naukowego, ale i pod względem wzorowego porządku, każdy uniwersytet europejski mógłby się zaszczycać: 1) *Muzeum mineralogiczne*, w czterech wielkich szafach za szkłem, z etykietami i katalogiem systematycznym, obejmuje ogółem sztuk 4000, to jest 3500 oryktognostycznych, a 500 geognostycznych średniego formatu i większej miary. 2) *Muzeum botaniczne*, czyli zielnik, zawiera przeszło 6000 wzorów zasuszonych roślin z kwiatami lub owocami, w 60 pakach tekturowych, w 2 osobnych szafach, z dokładnym inwentarzem. Rośliny krajowe odznaczone kolorem okładek. 3) *Muzeum entomologiczne*, albo zbiór owadów europejskich, ze wszystkich krajów Europy, obejmuje razem 1141 rodzajów, 8500 gatunków, a 26.000 sztuk w 100 skrzyniach za szkłem. — Dla bliższego rozpoznania zbioru i ułożenia się o warunki nabycia, potrzeba udać się do profesora Estrejchera w Krakowie.

---

Konstanty Tropiański. Pomiędzy obcymi wirtuozami, którzy obecnie w Wiedniu bawią, znajduje się także p. Konstanty Tropiański z Wilna, odznaczający się jako znakomity mistrz na dwóch najtrudniejszych instrumentach, to jest na skrzypcach i na klarnecie. Wszyscy, którzy go słyszeli, chwalą nadzwyczajnie nie tylko rzadką grę jego, lecz także piękność jego oryginalnych i prawdziwie oryginalnych utworów. Jestto jeszcze, jak mówią, bardzo młody mężczyzna, o którego jednak losie i kształceniu się żadnych bliższych wiadomości nie mamy. Słychać, iż wkrótce w koncercie ma wystąpić.

*Vicomte de Chateaubriand* jest piérwsyym publicystą francuzkim, który w szranki 19go wieku wystąpił. Ten sławny autor »Atali»— »Męczenników» — »Ducha chrześcijaństwa»— jakoteż zapieranych późniéj przez siebie »Historyczno-polityczno-moralnych rozpraw o dawnych i nowszych rewolucyjach»— tudzież »Dziennika podróży z Paryża do Jerozolimy» łączy w sobie najsprzeczniejsze żywioły i przymioty, posiadając zarazem prawdziwie poetyczny jenijusz i gruntowną naukę, wzniosły polot proroka, i salonową ogładę stylu, szczerą narodową dążność i jakąś chrześcijańsko-romantyczną barwę, giętkość dworaka i surowość moralisty, próżność i skromność podług okoliczności, a nieraz większą skłonność do liberalnych teoryj, niż to z jego położeniem się zgadza, i znowu bardziej rojalistyczny pozor w swoich czynnościach, niż tego rzeczywiście właściwa zasada jego charakteru dozwala. Powróciwszy po upadku Napoleona z Burbonami do Francyi, ubiegał się Chateaubriand o łaskę Ludwika XVIIIgo, który podobnie jak Napoleon, raczéj go cenił i poważał niż lubił, a mianowicie jego uraźliwej próżności się obawiał. Lecz nasz poeta-polityk miał osobliwszy talent narażania sobie osób i stronnictw. Z każdą rolą, którą mu się odegrać podobało, występował on niewcześnie i na nieswojém miejscu, a nawet w wyraźnej nieraz sprzeczności z panującemi wyobrażeniami i rządami. Za czasów przedrewolucyjnych był on nowatorem i filozofem, w piérwszych latach rewolucyi emigrantem z bronią w ręku, pod dyrektoryjatem pisarzem religijno-moralnym. w przeciągu konsulatu przyjął on posadę dyplomatyczną, aby ją wkrótce, po zamordowaniu księcia d'Enghien, z wymienieniem powodów złożyć; podczas cesarstwa pisał on satyry w duchu Tacyta, a zamiast dziękczynnéj mowy przed akademiją, wygłaszał krytyki polityczne; śród liberalnych przymilań się księcia Decazes, bronił on rojalizmu, zostawszy zaś ministrem, żądał wolności druku i zbijał kortezów hiszpańskich; w obec Karola X. i Polignaca był członkiem opozycyi, a po rewolucyi lipcowéj pogrzebowym chwalcą monarchii i dynastyi burbońskiéj. Zresztą, mówiąc słowami pewnéj pięknej i światłéj damy, miał on ten zaszczyt, iż wszelkie mierne głowy zajadle go nienawidziły.

Dawny pałac zimowy w Petersburgu, który jak wiadomo w r. 1837 zgorzał, był istotnym labiryntem sal, pokojów, sionek, przedsionków, i niezliczonych zakamarków na ziemi, pod ziemią, i w powietrzu, na dachu. Mieszkało tam przeszło 6000 ludzi. Sam minister dworu, który przecież przez lat 12 tę posadę piastował, nie miał dokładnéj znajomości wszystkich części budynku. Podobnie jak w niezmierzonych borach rossyjskich często osadnicy się osiedlają, o których właściciel przez długie lata nic nie wié, tak też i w tym pałacu gnieździli się różni ludzie, którzy bynajmniéj do jego właściwych mieszkańców nie należeli. Strażnicy na dachach, mający tam rozmaite obowiązki, pobudowali sobie małe chatki pomiędzy kominami, gdzie jak alpejscy pasterze na szczytach górskich, mieszkali wraz z żonami i dziećmi, trzymając nawet drób' i kozy, dla których okwita trawa na dachu dość paszy dostarczała. Miano tam nawet jednego razu krowy sprowadzić; lecz to zostało jeszcze przed pożarem surowo zabronione. Wspólne życie tych 6000 ludzi, które zacząwszy od najpośledniejszego kuchcika, aż do najpotężniejszego mocarza, wszystkie stopnie i kształty społeczeństwa pod jednym i tymże samym dachem wyobrażali — życie tych niezliczonych eleganckich oficerów, brodatych zwoszczyków, ustrojonych dam dworskich, biało przyodzianych kucharzy, dostojnych a biédno płatnych urzędników, mogłoby posłużyć do najciekawszych obrazów, i możnaby nawet osobną topografiję i szczególną statystykę tej osobliwszéj gminy napisać. Szkoda tylko, iż tak trudno o daty ztamtąd.

Piechotą do nieba. Podług doniesienia »Gazety wrocławskiéj» nie trzyma tameczny książe-biskup ekwipażu, a to dla tego, aby za oszczędzone przeto pieniądze, mógł codziennie 30 ubogim dać wyżywienie.

---

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.